Tomasz Wołek

MIARA POWINNOŚCI

1. Trzeciej pielgrzymce Ojca Świętego do Polski towarzyszyły oczekiwania nader zróżnicowane. Jak zwykle też, w parze z trzeźwymi, zasadnymi nadziejami szły spekulacje zgoła nieuprawnione, które trudno by nawet zaliczyć w poczet tak zwanych „pobożnych życzeń" – już choćby z tej racji, że z jakąkolwiek pobożnością niewiele miały wspólnego. Nic dziwnego: tak przecież bywało i w 1979, i w 1983 roku. Tak było i teraz.

Przytłaczająca większość wiernych łaknęła po prostu posługi pasterskiej, pokrzepienia ducha, żywego obcowania z Namiestnikiem Chrystusa, przybliżającym wieczną tajemnicę Eucharystii. Wielu chciało się zwyczajnie nacieszyć bliskością Papieża-Polaka, umocnić samym faktem jego obecności pośród wielomilionowych rzesz rodaków, poczuć tak dobrze znany dreszcz niekoniecznie zdawkowego wzruszenia. I nie ma powodu gorszyć się, iż w skali masowej tęsknotom owym brakło zapewne teologicznej głębi; że oto znowu objawił się typowo polski wymiar religijności ludowej, tradycyjnej, maryjnej. Zresztą: jeśli tak, to chwała Bogu.

Środowiska opozycyjne roztoczyły cały wachlarz wielorakich oczekiwań. Jednym marzyło się kładzenie podwalin zwartej, monolitycznej konstrukcji, zdolnej przeobrazić katolicki naród w katolickie społeczeństwo. Drudzy liczyli na precyzację granic „liberalnego minimum". Inni – na pobłogosławienie przedsiębiorczości i wolnej inicjatywy, być może w cichości ducha żywiąc nadzieję, iż staną się świadkami „ochrzczenia" demokratycznego kapitalizmu. Nie brakło westchnień, że Papież sformułuje coś w rodzaju kolejnej instrukcji wyzwolenia, tym razem wyzwolenia – od komunizmu. Owszem, pojawiły się również rachuby, że zamachnie się kropidłem głęboko na wschodnią stronę.

Dla odmiany władze zdawały się liczyć na to, że wizyta przyczyni się do idealnego, niejako wzorcowego wymodelowania stosunków Kościoła z państwem, przyniesie stabilizację polityczno-społeczną oraz stworzy dalsze przesłanki dla korzystnej – zwłaszcza w zakresie gospodarczym – współpracy z Zachodem. Pewne oznaki niepokoju w obozie władzy nie były wszakże w stanie przesłonić dość powszechnego optymizmu, ugruntowanego – jak się zdaje – szczególnie po rozreklamowanej ponad miarę wizycie gen. Jaruzelskiego

w Watykanie. Pielgrzymka miała także przybliżyć odpowiedź na pytanie, czy w ogóle, a jeśli tak, to w jakiej perspektywie i na jakich warunkach możliwe jest uregulowanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Stolicą Apostolską a Polską Rzeczpospolitą Ludową.

2. Przebieg samej pielgrzymki niektóre przypuszczenia potwierdził, sprowadzając szereg innych oczekiwań zarazem do właściwej im kategorii uroszczeń, bezzasadnych i nieuprawnionych spekulacji.

Z punktu widzenia władzy dysonans między nadzieją a spełnieniem nastąpił właściwie u samego progu papieskiej peregrynacji. To, co na Zamku Królewskim miał Jan Paweł II do powiedzenia Wojciechowi Jaruzelskiemu, z punktu zmusiło władzę do zasadniczej korekty własnych wyobrażeń, dotyczących przebiegu i rzeczywistej wymowy czerwcowej wizyty.

Podobnie zresztą i uroczystości na Westerplatte zyskały wydźwięk zgoła odmienny, aniżeli zakładał to oficjalny, propagandowy scenariusz. Nie mówię już o Mszy św. na Zaspie, gdyż stanowi ona odrębny – a przy tym bodaj kluczowy rozdział całej pielgrzymki. Jeśli jeszcze uwzględnić fakt, iż Jan Paweł II w każdej niemal homilii przekraczał granice wcześniej tak ściśle pod względem protokolarnym uzgodnionego tekstu, niejednokrotnie żywo komentując spontaniczne reakcje wiernych – staje się oczywiste, że tak bogata różnorodność form ekspresji i środków wyrazu w żaden sposób nie mogła dać się ująć w karby sztywnych, formalistycznych uzgodnień. Sam Papież był od początku do końca suwerennym reżyserem tego wielkiego religijnego misterium i tego równie wielkiego narodowego, patriotycznego spektaklu.

Reakcja władz była znamienna. Poczęta z podszytej obawą nadziei, rychło przeszła w stadium czujnej podejrzliwości, spoza której przezierało zgoła nieskrywane rozczarowanie i równie widoma irytacja. Szumnie zapowiadana otwartość informacyjna oficjalnej propagandy pozostała na papierze. W programie ogólnopolskim TV pominięto szereg zupełnie zasadniczych homilii, zaś sprawozdania prasowe niemiłosiernie kaleczyły sens papieskich wystąpień, wydobywając zeń – w zależności od kontekstu i potrzeb – okrojone w dodatku wątki „pokojowe", „państwowe" bądź „religijno-obojętne". Ten styl propagandy chwilami przypominał swoją kłamliwością najgorsze wzory gierkowskie. Wprawdzie radio dawało obszerne, niemal kompletne sprawozdania, ale, ostatecznie, żyjemy w epoce telewizyjnej.

Owe blokady informacyjne poustawiane na „froncie propagandowym" rozpadły się niczym domki z kart. Wprost niepojęty wydaje się zamysł odgrodzenia Gdańska od reszty Polski i zatajenia przed nią przebiegu oraz treści Mszy św. na Zaspie. W dobie tysiącznych udogodnień technicznych, w czasach, kiedy niepohamowany obieg wideokaset wymyka się wszelkiej kontroli – taki zamysł może dowodzić jedynie krańcowego braku wyobraźni i politycznej ślepoty.

Chwała Bogu, że Ojciec Święty mógł cieszyć się w ojczyźnie pełnym poczuciem bezpieczeństwa. Niemała w tym zasługa samych władz, które o stworzenie takich warunków skrupulatnie zadbały. To trzeba uczciwie przyznać. Z drugiej wszakże strony można mieć wątpliwości, czy gigantyczna koncentracja sił policyjnych, zgrupowanych zwłaszcza w Gdańsku i Warszawie, istotnie służyła temu właśnie szczytnemu celowi. Szczególnie w Trójmieście ów pokaz nagiej, momentami brutalnej siły miał w sobie coś z ostentacyjnego wyzwania. Jak zauważył jeden z dostojników kościelnych, od zwartych szyków milicyjnych, od tych zmotoryzowanych kolumn wiało jakieś poczucie obcości; miało się wrażenie, iż ich więź ze społeczeństwem, z rzeszami wiernych została zerwana. A przecież ci stróże porządku powinni stanowić i w gruncie rzeczy stanowią, specyficzną wprawdzie, lecz zarazem integralną część społeczeństwa, z niego się wywodząc i pozostając Polakami. Zapewne jednym z powodów ześrodkowania tak potężnych sił zmilitaryzowanych była obawa przed solidarnościowymi demonstracjami i chęć zniweczenia podobnych zamiarów już w zarodku, poprzez osiągnięcie psychologicznego efektu zastraszenia. Niezależnie od tego można jednak mniemać, że w obliczu konfrontacji niepomiernie ważniejszej niż ewentualne starcia uliczne, mianowicie zasadniczej konfrontacji ideowej – władza chciała tym sposobem, nie bawiąc się w niuanse i finezje, pokazać „kto tu rządzi": fizycznie, namacalnie, przyziemnie i nader konkretnie; udowodnić naocznie, kto tu włada ulicami, placami, ale również ciałami i żołądkami. Do kogo bowiem należy rząd dusz, sumień i umysłów – od początku wizyty nie ulegało wątpliwości. Niewykluczone, iż była to także desperacka nieco reakcja na widome odrzucenie przez Ojca Świętego komunistycznej oferty stworzenia niejako wzorcowego modelu stosunków Kościół-państwo, wszelako z kategorycznym wyłączeniem elementów solidarnościowego dziedzictwa – warunki, na które Jan Paweł II nie mógł i nie chciał przystać. Poniosły wreszcie fiasko złudzenia, żywione jeszcze po watykańskiej wizycie gen. Jaruzelskiego, iż uda się zamazać zupełnie zasadnicze różnice między chrześcijaństwem a marksizmem, prezentując wizerunek „Papieża-socjała" lub zgoła „Papieża-komunisty". Niedorzeczność tych spekulacji, jeśli rzeczywiście – choćby i w postaci mniej skrajnej – były żywione, z całą mocą ukazała sama pielgrzymka oraz treść głoszonych homilii.

3. Korespondenci zachodni fałszowali tę pielgrzymkę *à rebours*. Miałem sposobność przyglądać się z bliska ich pracy: na ogół stanowiła zaprzeczenie etyki zawodowej, drastycznego naruszenia której nie mogła przesłonić niekwestionowana sprawność profesjonalna. Większość korespondentów, nawet nie usiłując ukryć znudzenia, jakie budziły w nich religijne aspekty wizyty, zaciekle polowała na polityczne sensacje, na domiar odbierane w wymiarze żałośnie jednostronnym. Na przykład energię Michała Kaufmanna z „New York Times'a"

niemal bez reszty pochłaniało skrzętne gromadzenie „dowodów" wspierających z góry założoną tezę o rozdźwięku między „dobrym, kulturalnym i prosolidarnościowym" Papieżem a „złym, niekulturalnym i antysolidarnościowym" Prymasem. Wyznać należy z przykrością, iż argumentów dostarczała mu – nie Papież i nie Prymas, rzecz jasna – lecz część polskiej opinii, zapiekłej w uprzedzeniach. Z niewielkimi modyfikacjami powtórzył się czarno-biały schemat z okresu stanu wojennego i drugiej pielgrzymki. Ta rażąca jednokierunkowość ocen, ferowanych pochopnie, bez głębszego namysłu, była znamienna dla niektórych intelektualistów i artystów. Bezpośrednio po spotkaniu Ojca Świętego ze środowiskami twórczymi w Kościele św. Krzyża dały się zasłyszeć pełne mściwej satysfakcji głosy, że oto właśnie Papież „dał nauczkę Prymasowi, pouczając go o potrzebie większej otwartości, jaką winien jest Kościół polski światu kultury". Tak, jak gdyby ów Kościół wraz ze swoim Prymasem nie dali zupełnie bezprecedensowych takiej otwartości dowodów – szczególnie w okresie dla kultury narodowej najtrudniejszym, w pierwszych latach stanu wojennego. Niestety, krótka i niewdzięczna jest pamięć wielu spośród tych, którzy właśnie w Kościele, w czasach mrocznych i ciężkich, mogli odnaleźć właściwe ich talentom i powołaniu a niesprzeczne z sumieniem miejsce.

Zresztą, obecność Papieża usiłowano politycznie instrumentalizować na kilka sposobów. Parę przykładów przedstawiłem powyżej. Radykalne odłamy opozycji, zafascynowane widać niedawnymi chilijskimi wzorami, również próbowały wyzyskać nadarzającą się okazję. Szczególnie jaskrawy przypadek nastąpił w Warszawie, gdzie taką właśnie próbę ulicznej manifestacji podjęła kilkusetosobowa grupa, prowadzona przez Bujaka, Wujca i Bielińskiego pod transparentami „Solidarności", KPN-u i anarchistycznego ruchu „Wolność i Pokój". Demonstracja ta, przy skandowaniu „Zbyszek Bujak!" oraz „Chodźcie z nami!", ruszyła ulicą Świętokrzyską w chwili, kiedy Ojciec Święty w swoim „papamobilu" klęczący przed monstrancją zawierającą Najświętszy Sakrament, powoli prowadził procesję eucharystyczną ku Placowi Zamkowemu. Msza św. nie tylko trwała w najlepsze, ale właśnie zbliżała się do punktu kulminacyjnego całej pielgrzymki, wieńczącego Kongres Eucharystyczny i nadającego najgłębszy sens papieskiemu posłannictwu. Okrzyki „konkurencyjnego" pochodu, kierowane ku przeżywającym doniosłość tego momentu rzeszom wiernych, w tym kontekście nabierały znaczenia ideologicznej oferty: Chodźcie z nami, czyli w praktyce porzućcie Jana Pawła II na rzecz Zbigniewa Bujaka; chodźcie z nami, a więc odłączcie się od procesji religijnej, która z tą chwilą sprowadza się w najlepszym razie do funkcji osłonowej wobec właściwej akcji; chodźcie z nami, zatem zamiast śpiewać wraz z milionem ludzi kompletnie już nieprzydatną pieśń o Najświętszym Sakramencie, zagłuszcie ją miarowym skandowaniem „Solidarność, Solidarność!".

Nie przemawia przeze mnie obłudna świętoszkowatość. Nie podlega także kwestii oczywisty fakt, iż pielgrzymka obok zasadniczych cech religijnych zawierała nierozerwalnie z nimi splecione odniesienia patriotyczne, narodowe, polityczne wreszcie. Nie budzi również wątpliwości pozytywne wobec fenomenu „Solidarności" nastawienie samego Papieża, ani to, że zawsze występował i nadal występuje w jej obronie. Także większość spośród świadków i obserwatorów owej warszawskiej manifestacji – w tym i niżej podpisany – najlepsze lata dojrzałego życia oddała właśnie „Solidarności" i w dalszym ciągu poczuwa się do wierności jej dziedzictwu, które sam czas i doświadczenie oczyściły z błędów, małości i naiwności. Lecz właśnie! Bodaj najwięcej do myślenia daje, że reakcja samych ludzi – od obojętności po zdumienie aż do oburzenia – rozproszyły tę żenującą demonstrację o wiele skuteczniej aniżeli milicyjne kordony.

Czy zatem Bujak z Wujcem skompromitowali ideę „Solidarności"? Nie, gdyż tego, co w tej idei piękne i wartościowe, skompromitować niepodobna: obroni się samo i przetrwa. Po prostu grupka „lewicy solidarnościowej" dobitnie objawiła swą organiczną tożsamość z „lewicą laicką", przy okazji demonstrując całkowitą pogardę dla religijnych uczuć katolickiego narodu, brak szacunku dla pasterskiej posługi Głowy Kościoła, a także poziom kultury bynajmniej nie tylko politycznej.

Są poza wszystkim szczególne okoliczności miejsca i czasu. Można ostatecznie zrozumieć intencję pokazania publicznie, że „Solidarność żyje". W końcu Ojciec Święty wprost o tym mówił i do zachowania tej tradycji – tradycji wciąż żywej – wzywał. Należy wszelako przestrzegać zupełnie przecież elementarne normy, regulujące oczywistą hierarchię bytów i porządków. Owszem, trzeba widzieć związki religii z polityką, których natura wszakże źle znosi traktowanie prostackie i natrętne, nadmiernie uproszczone. A że można je traktować właściwie i zgodnie z duchem okoliczności, dowodzi Msza św. na Zaspie. Las solidarnościowych transparentów nie raził tam, w Gdańsku. To było wyzwanie, które sam Papież podjął, więcej – którego sam oczekiwał. To była Msza dla Polski, dla Gdańska właśnie, ale może w pierwszym rzędzie dla „Solidarności". Pojmowanej przez Ojca Świętego jako żywe dziedzictwo całego narodu, dziedzictwo, które powinno znaleźć wyraz w nowych, odpowiadających potrzebom chwili, kształtach życia publicznego. Lecz również solidarności rozumianej głębiej i szerzej – jako jedna z fundamentalnych zasad, na której wspiera się nauczanie społeczne Kościoła. Papież dał pogłębioną syntezę tego pojęcia, bynajmniej nie uciekając w ponadhistoryczną abstrakcję (przywołał przecież obraz zarówno sierpniowych strajków, jak i przypomniał konkretne umowy społeczne ze Szczecina, Gdańska i Ustrzyk-Rzeszowa), ale też nie zasklepiając solidarnościowych perspektyw w bezpowrotnie minionym, historycznym właśnie, kształcie organizacyjnym.

Nie wszyscy wszelako słów papieskich z należytą uwagą słuchali, niekiedy sens z nich płynący usiłując wcisnąć w formy przebrzmiałe, rozmijające się tyleż z rzeczywistością społeczno-polityczną, co z odczuciami przytłaczającej większości Polaków. Wspomniany przykład demonstracji w Warszawie dowodzi, że również papieskie nauczanie można traktować wybiórczo, podejmując zeń wyłącznie to, co nie przekracza wąskiego horyzontu doraźnej politycznej kalkulacji. Kalkulacji, która jakże często jest zwykłą manipulacją i nawet nie próbuje ukrywać swojej istoty.

4. Ta pielgrzymka, w swych źródłach ogarniająca tysiąc lat chrześcijaństwa w Polsce, zakreśliła zarazem horyzont następnego, nie tak już odległego tysiąclecia. Tkwiąc mocno korzeniami w konkretnej współczesności, wychylała się w wiek XXI. Była wielką syntezą i organicznym dopełnieniem dwu poprzednich; dopiero wszystkie trzy razem wzięte, dają pełnię papieskiego przesłania, zgarniając w harmonijną całość to wszystko, co Jan Paweł II ma do powiedzenia swoim rodakom.

Zewnętrznie ów syntetyczny charakter wyrażał się w rozległości i zasięgu „homiletycznego adresu". Ojciec Święty zwracał się do całego narodu, do wszystkich Polaków, lecz jednocześnie poświęcił czas i miejsce niemal każdej z podstawowych grup społecznych, o swoistej odrębności których przesądza już to wiek, już to płeć, już to wreszcie specyfika zawodu i środowiska. Mówił do biskupów, ale i do księży, zakonników a także seminarzystów i diakonów. Przemawiał do kobiet i do całych rodzin. Do młodzieży i do małych dzieci. Do ludzi morza, do włókniarek, ale i do całego świata pracy. Do rolników, ale i do środowisk uniwersyteckich, twórczych, intelektualnych. Do rządzących, ale i do rządzonych. Do społeczeństwa, ale i do władzy. Spotkał się z gen. Jaruzelskim, ale i z Lechem Wałęsą.

Już nawet sama konstrukcja owych spotkań, ich układ i swoista „architektura" nader plastycznie wyrażały papieski zamysł widomego zapełnienia tej wielowarstwowej przestrzeni, jaka zawiera się pomiędzy jednostką, osobą ludzką a wielkimi zbiorowościami: narodem i państwem. Jan Paweł II jak gdyby chciał wskazać palcem: oto, co jest pośrodku; jakież bogactwo środowisk, wiązań wzajemnych, wspólnot tak różnorodnych, a przecież poczuwających się i przynależących do wspólnoty nadrzędnej! Gdyż nie z uniformizmu, nie z tuszowania autentycznych różnic, lecz właśnie na styku wielu interesów, postaw i poglądów często ścierających się ze sobą, niekiedy sprzecznych – powstaje, mimo wszystko, pojęcie Ojczyzny, wspólnego dobra wszystkich Polaków. „Wszystkich Polaków, którzy żyją na ojczystej ziemi. I wszystkich poza jej granicami – gdziekolwiek się znajdują" (Okęcie, 8 czerwca 87).

Właściwie już na wstępie wizyty, w trakcie przemówienia do władz PRL na Zamku Królewskim Papież jasno wyłożył zasadnicze elementy swojego przesła-

nia. Ciąg dalszy pielgrzymki stanowił rozwinięcie i pogłębienie tych fundamentalnych prawd, tego wykładu o podstawach Cywilizacji Miłości. Na Zamku nie było Mszy św., nie było liturgii. Oczywistym jest, że Jan Paweł II zwracał się do gen. Jaruzelskiego nie jako ministranta, lecz jak do polityka, szefa partii i państwa. Ale słowa, jakie doń kierował, wypływały z samej istoty chrześcijaństwa i tę istotę wyrażały. Wypowiadał te słowa Arcypasterz, Głowa Kościoła Katolickiego. Lecz w równej mierze były to słowa wielkiego Polaka, żarliwego patrioty.

Mówił więc Papież o pokoju, o niepodległości, o niezbywalnych prawach człowieka, o podmiotowości społeczeństwa, o sprawiedliwości i odpowiedzialności. Mówił o wolności: religijnej, stowarzyszania się i wypowiadania swoich poglądów. Mówił o godności i poczuciu sensu ludzkiej pracy. Mówił o suwerenności narodu i państwa.

Pełne teksty tego oraz wszystkich pozostałych papieskich wystąpień opublikowała już prasa katolicka. Niebawem ukażą się albumy, książki i inne wydawnictwa zbierające w całość czerwcowe nauczania Ojca Świętego. Obowiązkiem każdego katolika, więcej – każdego Polaka – jest jego wnikliwe poznanie, sumienne przemyślenie i przyswojenie. W niniejszym skrótowym omówieniu chciałbym skupić się na zaledwie kilku – za to, śmiem twierdzić, zupełnie kluczowych – tego nauczania punktach.

5. a) Międzynarodowy ład pokojowy Papież ściśle związał i uzależnił od ładu wewnętrznego. Tak jak „grzech społeczny" poprzedzony jest grzechem indywidualnym, osobistym, tak również niepodobna podejmować skutecznej „walki o pokój" bez uprzedniego zaprowadzenia pokoju wewnętrznego „w naszym własnym domu". Bowiem pokój jest „dojrzałym owocem sprawiedliwości społecznej", której wymiar podstawowy sprowadza się do zapewnienia człowiekowi i społeczeństwu podmiotowości.

b) W imię osobowej godności słusznie każdy i wszyscy dążą do tego, aby być nie tylko przedmiotem odgórnego działania władzy, instytucji życia państwowego, ale być podmiotem. A być podmiotem – to znaczy: uczestniczyć w stanowieniu o „pospolitej rzeczy" wszystkich Polaków. Tylko wówczas naród żyje autentycznie własnym życiem, gdy w całej organizacji życia państwowego stwierdza swoją podmiotowość. Stwierdza, że jest gospodarzem w swoim domu.

c) Fundamentem owej podmiotowości jest poszanowanie i przestrzeganie wszystkich niezbywalnych praw przysługujących człowiekowi i obywatelowi. Prawa te wszakże nie mogą naruszać sprawiedliwego ładu społecznego; nie mogą pozostawać w oderwaniu od powinności i obowiązków, jakie wprawdzie wspólnota ma wobec jednostki, ale które również jednostka winna jest wspólnocie: rodzinnej, zawodowej, lokalnej, narodowej, państwowej wreszcie. Niepodobna obu tych pojęć – praw i obowiązków – traktować rozłącznie. Obowiązek

lekceważący prawo nabiera cech przymusu a nawet tyranii. I odwrotnie, prawo od obowiązku abstrahujące łacno wyrodzić się może w nadużycie. Na przykład wolność nieskrępowana poczuciem moralnym i pozbawiona hamulców odpowiedzialności, jakże często staje się swawolą lub osiąga stadium anarchii:

> Wolności nigdy nie można posiadać. Bardzo niebezpiecznie jest ją posiadać, wolność trzeba stale zdobywać, wolność jest właściwością człowieka. Bóg go stworzył wolnym, dał mu wolną wolę, bez względu na konsekwencje. Człowiek źle użył wolności, którą Bóg mu dał, ale Bóg go stworzył wolnym i nie wycofa się z tego absolutnie. (…) Wspólnota jaką jest naród składa się z ludzi i każdy z nich ma swoją świadomość wolności i (…) każdy z nich tę swoją świadomość wolności musi określić zarówno od strony tego, co ma, jak też od strony tego, co mu jest zadane. W każdym razie nie może być zdrowego społeczeństwa (…), jeśli w nim sprawa wolności, wolności osobistej, wolności wspólnotowej, wolności narodowej nie jest rozwiązana do końca, uczciwie, z pełnym poczuciem odpowiedzialności.

d) W stosunku do poprzedniej pielgrzymki Papież jeszcze wyraziściej doprecyzował pożądaną definicję suwerenności: narodu i państwa. Podkreślił, iż z podmiotowością społeczeństwa i przestrzeganiem praw osoby ludzkiej „łączy się ściśle zasada uczestnictwa w stanowieniu o sprawach własnego społeczeństwa, również w zakresie politycznym, z wykluczeniem wszelkich dyskryminacji. Suwerenność państwowa tylko wówczas odpowiada wymogom porządku etycznego, gdy jest wyrazem suwerenności narodu w tymże państwie: gdy społeczeństwo jest w nim autentycznym gospodarzem i twórcą wspólnego dobra". Trudno o wykład bardziej jasny i zwięzły.

e) W obliczu różnorakich prób – zarówno władzy jak i części środowisk niezależnych – kwestionowania profetycznej funkcji Kościoła, którego jakże często dotyczy zarzut „mieszania się do polityki", Papież wyraził stanowisko przynajmniej dla opinii katolickiej miarodajne i zupełnie jednoznaczne. Podkreślając organiczną w polskich warunkach „więź Kościoła z Narodem", akcentując jego „służebną" wobec narodu rolę, stwierdził w przemówieniu do Konferencji Episkopatu Polski, że „z racji swej misji ewangelicznej i pasterskiej Kościół nie może przestać być sługą takich zadań jak podmiotowość społeczeństwa związana z przestrzeganiem praw osoby ludzkiej (…), zasada uczestnictwa w stanowieniu o sprawach własnego społeczeństwa (…), jak suwerenność narodu w tymże państwie (…). Wszystkie te sprawy nie mogą schodzić z pola uwagi Kościoła, a w szczególności jego Pasterzy".

6. Bodaj kluczowe wskazanie, daleko przekraczające uproszczony wymiar „dyrektywy politycznej", będące natomiast przejmującym apelem do wszystkich Polaków – do władzy, do opozycji, do społeczeństwa – zawarł Jan Paweł II w swej homilii na Zaspie:

> Człowiek nie jest sam, żyje z drugimi, przez drugich, dla drugich. Cała ludzka egzystencja ma właściwy sobie wymiar wspólnotowy – i wymiar społeczny. Ten wymiar nie może oznaczać redukcji osoby ludzkiej, jej talentów, jej możliwości, jej zadań. Właśnie z punktu widzenia wspólnoty społecznej musi być dość przestrzeni dla każdego. Jednym z ważnych zadań państwa jest stwarzanie tej przestrzeni, tak, aby każdy mógł przez pracę rozwinąć siebie, swoją osobowość i swoje powołanie. Ten osobowy rozwój, ta przestrzeń osoby w życiu społecznym jest równocześnie warunkiem dobra wspólnego. Jeśli człowiekowi odbiera się te możliwości, jeśli organizacja życia zbiorowego zakłada zbyt ciasne ramy dla ludzkich możliwości i ludzkich inicjatyw – nawet gdyby to następowało w imię jakiejś motywacji „społecznej" – jest, niestety, przeciw społeczeństwu. Przeciw jego dobru – również dobru wspólnemu.

W istocie Papież postawił przed nami wszystkimi trudne, ale i nieodzowne zadanie poszerzenia i wypełnienia, zabudowania i zagospodarowania owej „przestrzeni wolności", którą przecież ciągłym niestrudzonym wysiłkiem trzeba „zdobywać i potwierdzać" na nowo. Jest w obrębie tej przestrzeni miejsce nie tylko na niezależne związki zawodowe, które stanowią zaledwie jeden, choć ponad wątpliwość niezmiernie ważki, wymiar polskich, pracowniczych aspiracji. W granicach tej przestrzeni pomieścić się mogą – i muszą! – autentyczne stowarzyszenia społeczne, zrzeszenia kulturalne, organizmy gospodarcze; także zresztą ruchy ideowe i polityczne. Ta przestrzeń winna być wewnętrznie spluralizowana, zasobna w różnorakie przejawy i inicjatywy, pulsująca życiem. Chodzi bowiem o gęstnienie tej żywej tkanki społecznej, która tak organicznie wiąże jednostkę z narodem, tym samym upodmiotowiając społeczeństwo.

To poruszające wezwanie do chrześcijańskiej, wyważonej, odpowiedzialnej, ale i cierpliwie niezłomnej aktywności przeciwstawił Papież zarówno jałowym postawom bierności i rezygnacji, jak i neurotycznym odruchom nieprzemyślanych, samospalających się zrywów. Jest jak jest – zdawał się mówić Ojciec Święty – ze spokojnym męstwem trzeba stawić czoła okolicznościom. Istota układu geopolitycznego w wyobrażalnym horyzoncie czasowym pozostanie niezmienna, i właśnie w tych warunkach należy się zdobyć na wielki patriotyczny wysiłek uczynienia Polski bardziej wolną, dostatnią i rozumną, praworządną i sprawiedliwą, w harmonii z wiarą katolicką i w zgodzie ze wskazaniami społecznego nauczania Kościoła, które także w naszych czasach zachowuje rangę zasadniczej inspiracji etycznej.

Trzeba wziąć pełną odpowiedzialność za siebie, własną rodzinę, uczelnię, zakład pracy. Niepodobna dłużej uciekać od odpowiedzialności za swój kraj, swój naród. Także za Kościół. Tylko czas ucieka bezpowrotnie, nas już na to nie stać. Należy sprostać wyzwaniom, trafnie odgadując znaki czasu. Również tego, który dopiero nadchodzi, wieszcząc rychły już przełom tysiącleci.

Trzeba nam w skupieniu powtarzać słowa modlitwy Jana Pawła II na krakowskich Błoniach: „I teraz znowu – teraz, kiedy tyle sił potrzeba Narodowi, aby zachować wolność, prosimy Cię, Boże: napełnij nas mocą Twego Ducha. Uspokój serca, dodaj ufności w Twoją miłość… Wzbudź w Narodzie chęć do cierpliwej walki o zachowanie pokoju i wolności. Spraw, abyśmy co dzień stawali się zdolni własnymi rękami i społeczną solidarnością, wpatrzeni w tajemnicę Twojego Krzyża, budować naszą wspólną przyszłość".

Oto miara zadań, miara powinności.

Józef Wierny

P.S.
Tekst niniejszy stanowi rozwinięcie artykułu opublikowanego w czerwcowej „Myśli Polskiej" przez Tomasza Wołka, z którego poglądami utożsamiam się tak dalece, iż – bez cienia obawy o rozdwojenie jaźni – mogę je uznać za własne.